

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k.

# NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stałego.

Biuro ekspedycji w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

## DWAJ BLIŹNIĘTA.

### III.

#### Uczta weselna.

(Ciąg dalszy.)

Owoż wśród tego samego krajobrazu jesienią ubarwionego, siedziała Olanka na tem samem miejscu, co roku przeszłego. Lecz chwila do chwili niepodobna, nie jednej zawsze barwy przędą się nici żywota ludzkiego; niestałe są pogody nieba, które ma tu promienie słoneczne, a tam różgi deszczowe, a najniestalsze to niebo życia istotnego, wszystkim chmurom i burzom podległe. Jakże zmieniona jest biedna Olanka. Znikła dawna świeżość, znikła krasa młodości, znikły rumieńce zdrowia i spokoju, znikły owe dołki przy ustach swawolne i wesołe. Twarz jej zawsze ładna ale blada, wychudła, poźółkła, straciła dawny urok wiosny, pełnej życia i nadziei. Oczy łyszczą jeszcze, ale nie ogniem spojrzenia, jeno szklannym blaskiem łez, które biedaczka darmo ściera fartuszkim, bo tam w swej piersi zbolałej ma ona niewyczerpane ich źródło. Nawet jej ubior, jakkolwiek staranny i czysty, ma w sobie ślady pewnego zaniedbania, które nawet zdaje się być naumyślne; bo u kobiety gdy przejdzie szczęście rojone a zawita smutek, znika i dawna jej chęć podobania się, która u kobiety jest najdzielniejszym dowodem jej żywotności. To też Olanka siedziała okryta jakimś rantuchem; a może wdziała go, by się od jesiennego zabezpieczyć zimna, a może?.. któż odgadnie wszystkie może myśli człowieka. I siedziała zadumana z zaciśniętymi ustami, które się ledwie zlekka odmykały dla westchnień, widocznie ulatujących w zimne powietrze. I nie ogląda się jak roku przeszłego, nie wyteża oczów naprzeciw!.. Biedaczka, ona niktogo nie oczekuje, niczego się nie spodziewa.

I jak roku przeszłego, na drugiej górze o krzyż oparty patrzył na nią Iwan czarny. Nie zmieniony ani w twarzy, ani w ubiorze swym, spojrzenie tylko zdawał się mieć posępniejsze i groźniejsze.

— Olanko! Olanko! zawołał jak roku przeszłego.

Dziewczyna nie przestraszyła się nawet jak roku przeszłego, bo kto wszystko stracił aż do ostatniej nadziei, czegoż ma się jeszcze straszyć. Spojrzała obojętnie przed siebie, a postrzegłszy czarnego Iwana wyrzekła nie bez gorzkiego szyderstwa:

— Witam cię bracie po długim niewidzeniu cię.

— Musiałem się oddalić z tych stron, a teraz....

— Przyszedłeś widzieć Olanę.

— Szkoda słów próżnych! — Nie słuchałaś rad moich.

— Rady! rady! a wszyscy radzą! Czemu kiedy nieuradzą co na śmierć, nikt umrzeć nie chce, a przecie przyjsć musi, i zetnie człowieka, jak kosa ścina najpiękniejsze ziółko.

— Biedna Olanko! Ja się zemszczę za ciebie.

— Ja waszej zemsty nie potrzebuję; gdyby nie wasza zemsta, toby jeden brat nie poszedł na dworaka, a drugi na opryszka, i siedzieliby w domu i ojciec by siedział i pilnowaliby córki i siostry, i nie zostawili jej samej jednej z sercem młodem i starą babą. A serce szaleje a stara wariuje. Ja nie chcę zemsty, bo ją nie taką jak wy, ja go kocham jeszcze, a on jeżeli przestał, to słuszną karą za moją głupotę, i za wasze złe myśli naprzeciw niemu. Ale jeżeli mnie kochał, byłam szczęśliwa! szczęśliwsza niż wszyscy ludzie — jakby ja już była w niebie. I pamiętaj Iwanie, że jakbyś chciał się zemścić, to między tobą a nim będzie pierś ta moja, pierś twojej siostry, i jej biedne, bardzo biedne serce. A teraz nie mamy co mówić z sobą, bądź zdrow bracie. Idź ztąd, bo tobie niebezpiecznie. Ty masz wrogów co na ciebie czyhają wszędzie.

— Ja się nieprzyjaciół nie boję. Nie takie ja przebył rzeczy.

— Strzeż się jednakże bracie! bo złe czasem przyjdzie z tej strony, z której się go człowiek niespodziewa.

— Nie gadajmy słów daremnych. Ja przyszedł tu, bo choć cię od dziecka nie widziałem, ale cię kocham, bo ja twój brat. O zemście nie mówmy kiedy nie chcesz, chociaż bóg sam najlepiej umie i nadgradzać i karać i co się ma stać to się stanie, czy ty zechcesz czynić, czy przezemnie czy bezemnie! Ale trzeba ciebie ratować, bo wiem, że już ludzie palcami na ciebie pokazują. A ja nie chcę, by na córkę mego ojca ludzie pokazywali palcami.

Biedna dziewczyna zasłoniła oczy końcem rantucha. A czarny Iwan tymczasem kilką śmiałymi skokami ztoczył się z góry, i po chwili stał koło siostry.

— Na to mam ratunek dla ciebie.

Dziewczyna podniosła oczy w górę, jakby tylko z tamtąd oczekiwała ratunku.

— Masz tu korzonek rzadki, on tylko w dalekich rośnie jarach, zgotuj go Olanko i wypij, a ludzie przestaną patrzeć na ciebie krzywo, przestaną palcem ciebie wytykać, i zapomną.

Dziewczyna słuchała go z uwagą nateżoną, patrząc w oczy jego, w których odbijało się tylko wielkie dla niej politowanie.

— Nie chcę, nie! — ozwała się wreszcie, ja nie chcę czarów.

— To nie czary.

— Iwanie! ja nie chcę zabijać, nikogo, ani siebie. I łkanie okropne przerwało jej mowę.

— Jak nie weźmiesz i nie wypijesz, to popełnisz inne zabójstwo.

— Zabójstwo? — krzyknęła zdziwiona.

— Ja nie chcę żeby ludzie palcem ciebie wytykali. Jak nie wypijesz, to twój zdradliwy kochanek nie ujdzie trzech dni mego oka i mojej kuli. Czy rozumiesz Olanko!

— A jeżeli wypiję, przysięgniesz mi, że mu dasz pokój, pokój na zawsze.

— Choćby się ożenił z tą białą panienką tam na płaszczyźnie.

— Co nam do tego, niech się żeni, ta biała panienka jemu równa; dobrze robi. Przysięgniesz ty Iwanie?

— Przysięgnę.

— Na pamięć ojca i matki i na zbawienie twoje, i na ten krzyżyk co mnie Mykita darował.

Wzdrygnął się czarny Iwan przez chwilę, ale przysiągł, na pamięć ojca i matki, na własne zbawienie i na ów krzyżyk fioletowym blaskiem kamieni łyszczący.

— Daj ten korzonek, dziś jeszcze wypiję, i lepiej, może pan Bóg w niebie pozwoli, abym naraz i na sobie dopełniła zabójstwa.

I rozeszli się. Czarny Iwan w góry; biedna Olenka do swej chaty.

A wieczorem zaniemogła biedaczka okropnie; leżała to w dreszczu, to w gorączce, a bóle konwulsyjne szarpało ciało biednej dziewczyny.

Chudsza, okropniejsza i więcej obłąkana jak dawniej rzucała się stara Warwara na przypiecku, a gniew, oburzenie i szaleństwo łyskały jej z oczów, wylatywały urywanemi słowy z ust.

O piec oparty stał Mykita na pozór obojętny, ale z burzą, z piekłem w głębi piersi.

— I cóż jest tej dziewczynie? — spytał Mykita po raz dziesiąty, lecz dotąd żadnej nie odebrał odpowiedzi, bo Olenka nie mogła odpowiedzieć, a stara pletka trzy po trzy.

— A co się miało stać? Jeden brat ją wykierował, o co wykierował to wykierował, z niej pani, jasnie wielmożna! będziesz żoną — mówił, kochaj go, rób co ón zechce, kochaj go, kochaj dziedziczko! jasnie wielmożna! I głupia dziewczka uwierzyła, i przedała się za głupie obiecanki. A drugi brat, znasz go, on taki czarny, nie było go, bo ja nie wiem dla czego... dał jej taki korzonek,

aby jej państwo to wypędzić, i ludzie, żeby nie ćwierkali tem państwem w oczy.

Mykita zacisnął zęby, a słuchał z uwagą i nic nie odpowiedział.

— A kiedy wesele? Mykito! ty družbą — krzyczała wariatka dalej. Mów kiedy, bo ty wiesz wszystko, ty wierny sługo, ty psie na uwiezi, pilnuj swego pana, co tam babka, co tam matka i ojciec, co tam siostra, niech ich djabli wezmą wszystkich; byle pan był kontent, i pochwalił, i nową obrózkę kupił.

— Milcz stara! — wrzasnął zniecierpliwiony Mykita. Co wy się ta na tem rozumiecie, to tylko stary pies, albo stara baba, co wrzeszczą sami nie wiedzą dla czego, i szczekają do miesiąca, żeby każdy słyszał, i każdy się śmiał, i drugiemu wygadał. Ja nie pies i nie baba, wiem co robię, jak robię i kiedy zrobię. A kto mi raz w drogę wlezie, to go i sam Bóg nie wyratuje. Ja żadnej krzywdy nigdy nie zapomnę, żadnej krzywdy, ktokolwiekby mnie pokrzywdził, ktokolwiek!

— Dworak! pies na łańcuchu! jednego pogłaszczesz, drugiemu podchlebisz albo dasz co do ręki, i wszystko pójdzie po dawnemu. Ale jest inny. O to mi cały człowiek, nikomu nie służy, nie chlepcze jak pies cudzej strawy, ten się zemści! zemści! zemści okropnie!

— On! — wykrzyknął Mykita, i zaśmiał się potężnie. On niech własnej pilnuje skóry!

— On! — zajęczała chora. On! mścić się nie będzie, ja przecie wzięłam dla tego to lekarstwo, wzięłam go na sumienie. On przysiągł mi na pamięć ojca i matki, i na zbawienie własne, i na ten krzyż coś mi go dał bracie.

— Przysiągł na pamięć ojca i matki i na zbawienie, i na krzyż święty! — zakrzyczał przeraźliwie Mykita a śmiał się jeszcze przeraźliwiej, a tak nienaturalnie, że aż stara za piecem zaczęła się zęgnąć, a tak głośno aż się szybki w chacie zatrzęsły. I tobie dał lekarstwo! ha! ha! to dobry brat! abyś uniknęła wstydu. Ależ ten wstyd twój głupia dziewczyno, ten wstyd twój, to była największa dla ciebie zemsta, on by go był okupił złotem i krwawymi łzami, on zakochany teraz. Jego serce czułe rozodrzc można było. A teraz nadaremnie! I to zniweczył czarny Iwan! Hej Iwanie! Iwanie! przyjdziemy do rachunku, a będzie długi, a będzie sprawiedliwy!

— Bracia! bracia! bliźnieta! wszystko przeklęte! Dopust boży! — mruzczała stara słowami coraz cichszymi, i coraz mniej rozumiałemi, jakby się jej i język i głowa popłatały do reszty.

— Oj matko! matko! mówiła płaczącym głosem chora dziewczyna. Te to twoje przekleństwa, coś je rzucała z chaty na dwór, te to boża kara i sprawiedliwość rzuca nazad do chaty, na nasze głowy. Boże wielki zmiłuj się!

Mykita wybiegł z chaty, a w ehacie nastąpiło milczenie przerywane tylko czasem jękami chorej, i mrużeniem starej.

Aby już dalej postąpić bez zatrzymywania się, za ciągłem naszej powiastki, dodamy jeszcze, że od owej nocy burzliwej Mykita nie chciał gadać z Małanką, i choć biedna, skruszona kobieta biegała za nim, i za nogami się jego włóczyła, odpychał ją zawsze, i zawsze jedno i to samo odpowiadał:

— Idź precz odemnie! kochanko opryszka!..

Ani też przez ten czas widział się z czarnym Iwanem, który w skutek powieszenia żyda, i robionych zabiegów by jego i całą pojmać bandę, oddalił się czy w inne strony podgórze, czy nawet jak wieść nosła wyniósł się na Wołoszczyznę, czy na Węgierszczyznę.

Małanka zaś, po jakimś czasie, przestała biegać za Mykitą, jeszcze się pocieszyła, a ludzie we wsi zaczęli nagle wiele o niej gwarzyć sobie do ucha: jakoby duszę zapisała diabłu, który cały czarny jak węgiel, odwiedza ją o północy, i różne przynosi kosztowne podarki. Mykita słuchał to wszystko, i milczał, jeno czasem zęby zaciskał, a śmiał się śmiechem okropnym.

Wróćmy więc teraz do Zahorzec, gdzieśmy zostawili naszych kochanków roztkliwionych zbytkiem uczuć, szczęścia i rozkoszy; w chwili kiedy nadeszli państwo Minieccy.

Pan Mikołaj zatrzymał się chwilę, i na pocziwej jego twarzy znać było trochę zakłopotania, jakby sam nie wiedział, w jaki sposób przyjąć to szczególne rozrzewnienie Moduni i pana Piotra, siedzących w czulej parze nad wodą, pod zasłoną płaczącej wierzby. Pani Julia uśmiechnęła się czy na widok rozczulonej pary, czy może na widok zakłopotania mężowskiego. Młodzi oczywiście zmieszali się niepospolicie, i zerwali z miejsca swego zarumienieni niepospolicie.

— Cóż tak smutnego opowiadałeś panie Piotrze, ozwała się Matka z swawolnym uśmiechem; żeście się aż oboje popłakali.

— I owszem mam!.. zawołała córka, i rzuciła się na łono matki aby ukryć swoje zmieszanie. To nie było nic smutnego.

— Nic smutnego!.. to doskonale! więc to wesołe jakieś opowiadanie poruszyło was do łez!.. mówiła dalej matka. Opowiedz że i nam jeszcze Piotrze!..

— Mam! mam! szeptała córka do matki błagającym głosem; i zamilkła, i uspokoiła się, gdy ją matka serdecznie przycisnęła do serca, i w rozpaloną pocałowała główkę.

Pan Piotr, zebrawszy zmysły, i przywoławszy na pomoc całą odwagę i śmiałość dawniejszą, przystąpił wreszcie do państwa Minieckich, i porwawszy ojca i matkę za ręce, ucałował je...

— Ja się ośmieliłem.... prosić!... i śmiem teraz udać!.. Dalej ani rusz! ani słowa więcej nie zdołał wymówić biedny pan Piotr.

— Prosić!.. przerwała matka z uśmiechem na twarzy, a łzą w oku. Prosić zapewne o trzecią jeszcze rękę!... Podaj że mu ją Moduniu.

I w rzeczy samej, pan Piotr porwał trzecią rękę z zapalem, ścisnął w szerokiej dłoni swojej, chciał mówić, lecz tylko zdobył się na łzy i na gorące pocałowania, jakie na wszystkich trzech składał rękach.

Lecz na cóż mamy dalej przeciągać tę równie dla nas jak i dla rodziców zrozumiałą scenę. Bo przecież porozumieli się wszyscy słowami, jak się już rozumieli myślą. Pan Piotr zdobył się na formalne oświadczenie, które jak to już widzieliśmy naprzód, zostało przyjęte, a nawet za pozwoleniem rodziców włożył na piękny paluszek Moduni, pierścionek jakiś skromny, który nosiła jeszcze jego matka, a który mu panna Gertruda oddała, gdy był dzieckiem jeszcze. Improvizowane zaręczyny zakończone zostały serdecznem błogosławieństwem rodziców, serdecznemi łzami wszystkich, i najserdeczniejszym rumieńcem Moduni, której serduszko tłukło się po łonie, pełne wzruszenia i rozkoszy. I na końcu ułożonem zostało, że się wesele odbędzie w same zapusty. Zaręczeni westchnęli. Panu Piotrowi wydał się zapewne za długim ten czas oczekiwania, a Modunia nie umiając sobie zdać sprawy z tego westchnęła, dla tego że pan Piotr westchnął.

Zaczął się dla naszej pary czas najpiękniejszy, jedyny w życiu, niezem nienadgrodzony, którego żadna siła, nawet siła wyobraźni nie zdoła zwrócić, w całym jego blasku wiosnianym, w całym jego uroku zaczarowanym. Nie dla tego mówię to, iżbym chciał utrzymywać, iż miłość przedślubna mocniejszą być musi koniecznie od miłości poślubnej; wszakże mnogie mamy przykłady małżeństw kochających się stale, czule, aż do grobowej deski; niemniej przeto powtarzam, że czas ten przedślubnych marzeń dwojga kochanków, marzeń czystych, niewinnych, w niebo ulatających, marzeń uszlachetniających człowieka przewagą duszy nad ciałem, marzeń niepokalanych egoizmem a koniecznością życia rzeczywistego; że czas ten, który się nam zwykle przez głupią niecierpliwosć człowieka tak długim wydaje, iżbyśmy go kosztem kilku lat życia skrócić chcieli; że czas ten jest najcudniejszym, niepowrotnym, nieodżałowanym epizodem życia ziemskiego. Jest to może ów Eden Adama i Ewy, który my sobie, by go zniżyć do naszej miary i naszego pojęcia, tak zmysłowo przedstawiamy w postaci raj. Bo skoro tylko młodzi małżonkowie przestąpią progi swojego domku; wchodzą z niemi wszystkie wymagania rzeczywistości, wchodzi myśl o jutrze, z wszelkiemi swemi sumolubnymi następstwami, wchodzi zajęcia nieodzowne, obowiązki, wchodzi troska o gospodarstwo, o chleb codzienny, troska

o dzieci, tę rodziców rozkosz i męczarnię, troska życia rzeczywistego, nieodstępna już towarzyszka aż do ostatniego, do prawdziwego odpoczynku — w grobie!..

I nasi kochankowie żyli z dnia na dzień szczęśliwi, ale nieświadomi własnego szczęścia, bo przyspieszonym biciem serc swoich gonili naprzód, by prędzej stanąć u kresu życzeń swoich. I mijały dzień po dniu te najcudniejsze brylanty, z skarbu ich żywotu, trwonione jak zwykle, rozrzucone bez myśli, pogardzone prawie. I przeszła jesień, i nadeszły pierwsze śniegi! A Bóg wie ile razy ukradkiem zajrzeli do kalendarza, dziwiąc się, że ich dotąd nie uderzyła nigdy ta wielka i zajmująca ważność literatury kalendarzowej. I przyszły od gór zimowe wiatry! Jakże dla nich harmonijnem było ich złowrogie wycie. I cała okolica pokryła się zimowym całunem, który dla nich wydał się najcudniejszą szatą weselną!.. I nadszedł rok nowy! który miał być pierwszym rokiem ich szczęścia, jak czule przez nich był przywitany. I zaczęły się nareszcie zapusty, które z niemałym kochanków niezadowoleniem, głupi jakiś kalendarzowy twórca przedłużył nieskończenie, a ślub wedle woli rodzicielskiej miał się odbyć w same ostatki. Zasypane śniegiem górskie drogi były prawie do nieprzebycia, a przecież codzien z rana odzywały się znajome dzwoneczki, zwiastujące przybycie sanek pana Piotra, i codzien wieczorem te same dzwoneczki kołysały w sen rozkochaną dziewczynkę, i przeistaczały się nagle w cudną dla niej harmonią dźwięków kościelnych, ogłaszających godzinę ślubu. Już nareszcie dni tylko kilka dzieliło ich od dnia tak gorąco upragnionego.

Leż za nim przystąpimy do opisanego dnia tego, musimy pobieżnie opisać kilka wydarzeń, które równie pobieżnie dotknęły pana Piotra, i niejedną chwilową chmurką obdarzyły pogodne jego czoło. Innym razem, gdyby nie był tyle zajęty miłością, wydarzenia te byłyby go zajęły niepospolicie, i nie jedną wywołałyby burzę w jego gwałtownem usposobieniu. Jakoż w rzeczy samej czarny Iwan, którego bytność w okolicy wszystkim dała się we znaki, starał się mianowicie o to, aby się panu Piotrowi przypomnieć. W jesieni jeszcze i to w biały dzień zabierał mu bydło z pastwisk, na początku zimy świeżo postawioną gorzelnię podpalił, i za każdym razem, czy to karteczkę napisaną, która Bóg wie jakim sposobem dostawała mu się do rąk, czy przez górala jakiego, który mu w przejeździe donośnym z góry zakrzyczał głosem, donosił mu, że on jest sprawcą tych wszystkich psot jemu wyrządzonych. Daremne były wszystkie usiłowania pana Piotra, aby położyć jaki koniec tym wszystkim napaściom; spóźniona pora robiła niepodobiestwem wyprawę jaką zbrojną i urzędową naprzeciw opryszkom, których najlepszym sprzymierzeńcem była trudna do przebycia, a im dobrze znajoma miejscowość. Całym jego ratunkiem była

podwojona ostrożność, której potrzeba sama przeżywała nieraz pana Piotra wściekłym gniewem; tem więcej, że gdy się te wszystkie napaści nie mogły utaić, postrzegał on nieraz na twarzy pana Mikołaja, a nawet na twarzy pani Julii, wyraz tłumionego, ale źle ukrytego niepokoju.

— I powiedz mi panie Piotrze! zapytał go raz pan Miniński; czy nie wiesz kto jest ten czarny Iwan, który widocznie ciebie prześladuje, i tobie najwięcej się odgraża.

— Niewiem zupełnie! odpowiedział pan Piotr najszybciej, bo w rzeczy samej nie wiedział ani słowa o dziejach rodzinnych czarnego Iwana.

— Czy nie jest on z twojej wsi? dodała pani Julia.

— Zdaje się że nie! bo by Mykita o tem wiedział!..

— A dobrej wiary Mykity czy jesteś pewien? pytała Julia dalej.

— Mykity?.. odpowiedział z zadziwieniem robiącym zaszczyt jego sercu; jak siebie samego!..

— Bośmy myśleli; ciągnął dalej pan Mikołaj, czyli ten czarny Iwan nie jest poddany z Kryweńki, czyli może dawniej nie wyszedł z niej... może jeszcze za ojca twego który jak wiem... był dosyć surowy. A ci górale są nader mściwi!

— Że nie jest on z Kryweńki, tego pewien jestem, bo przypominam sobie że mi kiedyś Mykita rozповідаł iż on przybył z tamtych stron Karpat, z Węgier!..

Państwo Minińscy uspokoiли się wprawdzie na to powiędzenie, ale zaród niepokoju utkwiał na nieszczęście w ich sercach.

(D. c. n.)

### Rubelek Tesi.

Maj, wiosna, wokoło  
Pogodnie, wesoło,  
Zielono, błękitnie,  
Co kwiatek, to kwitnie,  
Co ptaszek, to śpiewa,  
Gaj, pola i drzewa  
Brzmia w kolej, jak tony  
Też pieśni i stróny.

I oto w ogródku,  
Po kwiatkach, w drzew chłodku,  
Śród płasów, igraszek,  
Jak kwiatek, jak ptaszek,  
Tesiutka, malutka, i i  
Swawolna filutka,  
To śpiewa, to biega,  
Aż sad się rozlega,  
To piosnką, to śmiechem,  
To kroków jej echem.

A na ganku, jak co ranku,  
Za wczorajszą w polu pracę,  
Robotnikom, najemnikom.  
Ojciec siedząc dzieli płacę.

Postrzegła,  
Przybiegła,  
I obces do taty:  
„Jaki ty bogaty!

»Daję i mnie proszę,  
 »Choć grosz, choć trzy grosze!»  
 »A za co? — »Ej tato!...»  
 »A na co? — »Ot na to,  
 »Na włóczki, koralki  
 »Na różne zabawki,  
 »Na suknię dla lalki,  
 »Obrózkę dla Żwawki»...

I nagle jak sroczka,  
 Porwała rubelka,  
 I rada z figielka,  
 Uciekła jak skoczka.

Po godzinie ojciec słucha,  
 W całym sadzie cisza głucha,  
 Nikt nie skacze, nikt nie śpiewa.  
 Gdzież to Tesia? — W cieniu drzewa,  
 Twarz na dłoni, dłoń na sęku,  
 Siedzi wsparta, z rublem w ręku.  
 Siedzi, myśli, co za niego  
 Kupić komu, wiele czego?  
 Suknie niańce? — rubla mało:  
 Suknię lalce? — jaką? białą?  
 Nie! — Zieloną? — tę już ma;  
 Żółtą? — nie, fe! żółta zła;  
 Więc różową, czy błękitną,  
 Ale całą aksamitną!...

Lecz czyż na to rubla dosyć?  
 Można tatę znów poprosić,  
 Ale kto wie, da czy nie da?  
 Wreszcie z tatą mniejsza bieda.  
 Ale mama! Czuje sama,  
 Że dziś z mamą przed śniadaniem,  
 Nie najlepiej poszła gama  
 Jak po grudzie szło z czytaniem  
 Mama powie, tata kto wie,  
 A nuż może każe sobie  
 Oddać nawet co dał? — Bieda!  
 Co tu począć? Główkę skrobie,  
 Sama sobie rady nie da.

»No! toż nie chcę nic kupować.  
 »Rubla schowam. A gdzie schować?  
 »Skrzynki nie mam. Ancia mówi  
 »Że najłatwiej złodziejowi  
 »Przyjść i ukraść. No, to włóżę  
 »Pod poduszkę. A jak może  
 »On z łóżeczkiem mnie wyniesie?  
 »Obudzę się w nocy, w lesie!...  
 »Ach! i dalej w płacz załosny.  
 »Ach! ty rublu! ty nieznosny!  
 »Co ja muszę cierpieć za cię!  
 »Precz odemnie! oddam tacie.»

Już chce skoczyć, i znów stoi.  
 Spuszcza główkę, znów coś roi;  
 Żal rubelka. Jak się odda,  
 Już go nazad nie odebrać.  
 Chować, kłopot; stracić, szkoda.  
 Ach! najlepiej było nie brać!  
 Lecz co zrobić wzięwszy już?

Gdy tak duma, Anioł-stróż,  
 Stróż jej myśli i serduszka,  
 Zlitował się, i do uszka

Szepnął z cicha: »Bieź do mamy!  
 »Tam jest mądrość, tam skarb dzieci.  
 »Nie doradzisz sobie samej,  
 »Aż Bóg przez nią nie oświeci.»

Tesia cała zczerwieniała,  
 Nie wie, że to głos anioła:  
 Czuje tylko że się stała  
 Znów spokojna i wesoła.  
 I do mamy.

Aż u bramy  
 Mama z jakąś biedną gada,  
 Co w pół naga, wsparcia błaga,  
 O swych dzieciach rozpowiada.  
 Ma ich czworo; jedną chorą,  
 Troje z głodu mrą bez chleba!  
 Żal zdjął Tesię; rubla niesie,  
 Wie już co z nim zrobić trzeba.  
 I gdy mama i uboga,  
 I Anioł-stróż, w tejsze chwili,  
 Z rozrzewnieniem, w imie Boga,  
 Wszyscy ją błogosławili;  
 Anioł-stróż tchnął w jej sumienie  
 Naukę na całe życie:  
 Że szczęście daje nie mienie,  
 Lecz dobre mienia użycie.

A. E. Odyniec.

## Teatr.

Weszło u nas w zwyczaj, narzekać na literaturę, tak powieściową jak i dramatyczną francuską. Tak samo narzeka i dziennikarstwo angielskie, niemieckie, włoskie, duńskie, szwedzkie, rossyjskie i t. d. Zarzucają pisarzom francuskim potworność i niemoralność obrazów, ubieganie się za excentrycznością, niemoralność i t. p. Napaście te są ciągłe, nie mają końca ni miary. I jakiż skutek tak usilnej i wytrwałej opozycji? Oto wszystkie sceny europejskie wielkich i małych narodów, zaczawszy od londyńskich, a skończywszy na małej budzie słowackich wędrujących aktorów, coraz więcej utrzymują się jedynie z przekładów francuskich. Oto wszystkie budoary europejskie zarzucone francuskimi romansami a magazyny i warsztaty tłumaczeniemi z francuskiego. A pochodzi to ztąd, iż francuzi praktyczniejsi w tym względzie są od innych narodów. Gdzieindziej każdy początkujący nawet pisarz zakrawa natychmiast na Szekspira lub Moliere, pisze dla potomności, i chcąc być oryginalnym i tak jak tamci, nową erę stanowić w literaturze, wymyśla formy i kształty nowe choćby najdziwniejsze. A że geniusze, jak Szekspir lub Moliere zaledwie w kilku lub kilkunastu wiekach raz się pojawiają, więc usiłowania te idą w niwecz i zapomnienie. Francuzcy pisarze przeciwnie, nie mają tej pretensyi. Piszą oni wyraźnie dla chwilowej potrzeby, nie dobijają się stanowiska, z któremby do potomności przeszli, ale starają się dziś i jutro zgromadzoną publiczność ubawić, rozweselić, lub rozczulić, zasmucić i pocieszyć. Wytknąwszy sobie tak bliski zakres, wchodzą z tą publicznością i w bliższą styczność. Żyją wraz z nią, wraz z nią odbierają wrażenia i wiedzą więc w jaki sposób na nią w tej chwili wpłynąć można. Arcydzieł nie piszą, zawikłania są zbyt wyszukane, bo im chodzi jedynie o chwilowy efekt nie o artystyczną wiecznotrwałą budowę, bo oni jutro zabiorą się do innego dzieła a zapomną o dzisiejszem pierwej może, niż publiczność sama o nim zapomni; ale piszą zajmująco.

Podobnie napisanym i podobnie zajmującym dramatem jest dany w środę po raz pierwszy na tutejszej scenie polskiej pod napisem: Wróżka la Voisine. Niewdzięczna i nieużyteczna to praca robić podobne dramata. Lepiej będzie treść samą opowiedzieć.

W akcie pierwszym mieszkanie wróżki, przebiegłej dworskiej intrygantki. Pani Krystyna, żona prokuratora przychodzi do niej w chęci wywiedzenia się, co się stało z jej córką, którą przed zamążpójściem swem miała, a o której mąż jej nie wie. Córkę tę jej wykradziono. Wróżka prokuratorową poznaje. Ta sama bowiem wróżka była głównym narzędziem dla bogatego pana do uwiedzenia podstępnej ubogiej w ów czas Krystyny. W tem nadchodzi i prokurator, który również od wróżki dowiedzieć się chciał, czy to prawda, co o jego żonie ludzie mówią, iż pierwiej miała dziecię, i czy to prawda, iż schadzki Krystyny z bogatym paniczem odbywały się u wróżki. Wróżka bojąc się aby nie wykazała się, iż ona w tej zbrodni ma udział, osobliwie iż i tak ó rozmaite inne u tegoż samego prokuratora zaskarżona jest, wprowadza prokuratora w błąd, składając powód do plotek miejskich na inną panią. Żona jego która uszła innemi drzwiami, dla zamkniętej furtki nie może wyjść z domu tego. Wraca aż pod drzwi izby z której wyszła, słyszy rozmowę męża z wróżką, słyszy jak mąż oświadcza, iż zabiłby żonę i to dziecię, gdyby w tych plotkach prawda była. I słyszy później umowę wróżki z innym jegomością, który po ślubie ma otruć swą narzeczoną, a posagiem podzielić się z nią i z nią się ożenić. Omdlenie pod drzwiami prokuratorowej zwraca uwagę złoczyńców, wybiegają i postrzegają że ich podsłuchano. Wtajemniczeni oboje w stosunki prokuratorowej grożą jej wykryciem i zhańbieniem, gdyby najmniejszym słowem ich zdradziła.

Oto jest zawiązanie intrygi; wprawdzie jest wymuszone, na przypadkach, zejściach i podsłuchaniach się opierające. Aleć przynajmniej autor w pierwszym akcie już skoncentrował całe założenie intrygi, a w następnych aktach z tego założenia swobodnie już rozwija cały zajmujący dramat, oszczędzając nas od nowych niespodzianek. Już w pierwszym akcie przewidział wszystko i wprowadził z czego w następnych dramatyczne rozwija sceny!

Uwodziciel Krystyny uszedł do Indyjów, wykradzioną córkę wychował w klasztorze. Umierając zapisuje jej majątek i poleca ją opiece przyjaciela, prokuratora. Za męża zaś swej córce wybiera właśnie owego pana Beauvillars, którego umowę z wróżką podsłuchała prokuratorowa. Z listu pisanego do Krystyny dowiaduje się ona, iż to jej córka przybyła w dom jej, i dowiaduje się później, kto jest narzeczoną córki.

Tu rozpoczynają się dramatyczne sceny. Z jednej strony przywiązanie matki, z drugiej trwoga, aby się nie zdradzić przed mężem. Chce wyratować córkę od siideł zastawionych przez złoczyńcę, a nie może tych siideł wykryć, bo życie córki i jej byłoby zagrożone. Udaje iż dla tego opiera się temu małżeństwu, że mąż półmiliona córce przyjaciela dając w posagu, żonę krzywdzi, a gdy i to nie pomogło, gdy pomimo wszelkich usiłowañ ślub przychodzi do skutku, wpada do mieszkania Beauvillars w celu uprowadzenia córki. Tu przez zbieg okoliczności za uciekającą przed sądem wróżką nadchodzą żandarmy, którym matka wykrywa zamiary zbrodnicze. Lecz złoczyńcy zmówieni odwracają ten zarzut, zwalając wszystko na Krystynę. A przed mężem prokuratorem skarżą, iż z oporu przeciw daniu półmiliona posagu, przesłała teraz aż do zamiaru otrucia jego i jego pupilli.

Tak więc Krystyna i wróżka którą o inne obwiniają zbrodnie, stawieni przed sąd, skazani zostają na śmierć. Bo matka nie chce przez odkrycie swej hańby zgubić córki. Lecz wróżka w ostatniej chwili widząc, iż ją Beauvillars oszukał, iż obiecaną pomocy do ucieczki jej nie dał, wyznanie robi szczerze, sama idzie na stos, Beauvillars do więzienia. Krystyna triumfuje, mąż się z nią godzi, bo z papierów u wróżki znalezionych pokazało się, iż biedna dziewczyna uległa jedynie piekielnej intrydze i przemocy. A choćby nawet zawińta była, jej poświęcenie się bez granic zmaszałoby już tę winę, jak złamało bezwzględny charakter jej męża, stawiającego wyżej honor swój nad

świętość małżeństwa, chcącego mścić się okropnie za winę żony popełnioną wtedy jeszcze, gdy jego żoną nie była. (D. n.)

W poniedziałek w teatrze polskim dana będzie komedya Scribego: **Wojna kobiet**. Na tej reprezentacji ma być obecny Jego Cesarzewiczowska Mość.

## Rozmaitość.

### Przedsiębiorstwo „żegluga parowej wschodniej.”

Emigracya do Australii dosięgnęła rozmiarów kolosalnych, od czego jak tam odkryto kopalnie złota, przechodzące pod względem bogactwa kopalnie kalifornijskie, a których produkcya w tym roku dojdzie sumy bajecznej, 600 milionów fran. Skutkiem tego stanu rzeczy, dotychczasowe środki przewozu stały się niewystarczającymi; zbyt one powolne a spieszących po zdobycz złotego runa niecierpliwosć pali. Urządzone więc jako dodatek do linii pocztowej pomiędzy Anglią a Indyjami, linią do Australii, ale i ten środek komunikacyi nie odpowiada wymaganiom codzien gwałtowniejszym. Potrzeba kolosalnych pakietbotów dla pomieszczenia tłumy, spieszącego do Australii dla szukania tam kosztownego kruszcza w ziemi lub zarobienia bogatej płacy, jaką tam ofiarują każdemu człowiekowi, zdolnemu do zajęcia się choć jakimkolwiek najprostszym rzemiosłem. Potrzeba parostatków szybszych i tańszych, bo droga do przebieżania jest wielka a do tej pory podróż była długa i kosztowna. W kierunku najprostszym, koło przylądka Dobrej nadziei, z Anglii do Australii liczą co najmniej 19,100 kilometrów, to jest prawie połowę obwodu ziemi. W skutek tego wyrodziło się w Anglii przedsięwzięcie pakietbotów parowych, zasługujące na podanie wiadomości o niem, z powodu niezmiernej wielkości okrętów i niepraktykowanej dotąd szybkości, jaką zapowiadają przedsiębiorcy. Dodać należy, że przedsiębiorcy owi nie sąto wcale awanturnicy, którzy obiecują, nie myśląc dotrzymać; sąto ludzie porządni, stateczni, którzy mogli się omylić, i nie ręcymy, czy się nie omylili, ale którzy mówią to, co myślą, a których światło i doświadczenie wielką wagę ich obliczeniom daje. Kierującym budową tych pakietbotów inżynierem jest p. Brunel, syn, który podał plan do tych potężnych okrętów; jest on synem sławnego Brunela, który budował tunel pod tamizą. P. Brunel syn wykonał już mnóstwo robót wielkich, pomiędzy któremi wspomnieć należy kolej żelazną, najpiękniejszą może jaka jest w świecie, Great-Western, z Londynu do Bristolu.

Przedsięwzięcie, o którym mowa, noszące nazwę: „Żegluga parowa wschodnia” używać będzie okrętów, mających następujące rozmiary: Długość 681 stóp angielskich (207 metrów, 40 centymetrów), szerokość bez liczenia kół 85 stóp, (27 metrów, 57 cent.); każdy okręt opatrzonny będzie kilku machinami parowymi, tworzącymi razem siłę 2600 koni. Mieć będą razem i szruby i koła, by połączyć korzyści obu systematów. Dla porównania przypomniemy; że okręt liniowy trzechpokładowy o 120 działach, ma długości tylko 57 metrów, 83 centymetrów w spodzie a 63 metrów i 83 centymetrów w górze. Największa szerokość okrętu wynosi 16 metrów, 70 centymetrów, wysokość w środku 16 metrów i 52 cent. Tak więc nowe parostatki będą przeszło trzy razy dłuższe od największych okrętów liniowych; najważniejszy to i najsmielszy szczegół budowy. Co do szerokości, inżynier ograniczony był zwykłą szerokością wejścia do basinów portowych; większa ona jednak przeszła o połowę od szerokości okrętów liniowych. W skutek tak wielkiego powiększenia długości, budowniczy doszedł do zyskania objemu, o którym nikomu się nie marzyło dotąd, bo do 28000 beczek, a zatem do sześć razy większego objemu od największego okrętu liniowego.

Celem przedsiębiorców jest odbywać podróż z Anglii do Australii,

zawijając do jednego lub dwóch portów tylko, dla wysadzenia tam szybko podróźnych, ale bez zabierania węgla, albowiem ładowanie na okręt tego paliwa wiele czasu zabiera. Co więcej, wypływają z Anglii, chcą zabierać i węgiel do powrotu, przynajmniej dopóty dopóki kopalnie australskie nie będą w stanie dostarczyć tanio tego materiału. Zład oszczędność nie mała, bo płacić będą węgiel po 15 do 18 fr., 1000 kilogramów. Gdyby zaś zaopatrywano się w Australii lub po drodze, potrzebaby płacić dziś cenę cztery i pięć razy wyższą. Konsumcy węgla oceniają na całą drogę, tam i napowrót na 4000 do 6000 beczek, cała zaś droga robi 10,000 mil fr. po 4 kilometry. W prawdzie w ten sposób znaczna część objemu okrętu spotrzebowaną będzie, ale okręt nie będzie zapchany w porównaniu z miejscem, które jeszcze rozporządzalnem zostanie. Miejsca w istocie tyle będzie, że na towary mogą poświęcić 5000 beczek objemu i to jeszcze zachowując bezprzykładnie wiele miejsca dla podróźnych. Według planów nader szczegółowo ułożonych, które teraz wykonywują, bo pierwszy okręt już zbudowany, okręt ten liczy 500 kajut dla samych podróźnych pierwszej klasy, z odpowiednią liczbą pokoi dla daleko liczniejszych podróźnych drugiej i trzeciej klasy.

Korzyścią główną tak wielkiej budowy jest to, że na linii na której tak wielki ruch panuje, można będzie wyprawiać i towary i podróźnych pod warunkami bardzo tanimi. Tak, kompania donosi, że obowiązuje się przewozić z Anglii do Australii podróźnych pierwszej klasy za 65 funt. sterl. (650 złr. m. k.); podróźnych drugiej klasy za 35 funt. sterl. (350 złr. m. k.); podróźnych trzeciej klasy za 25 funt. sterl. (250 złr. m. k.); co do towarów, cenę przewozu zniżają do 4 funt. sterl. (40 złr.) za ton z 20 cełnarów. W istocie, cena to niezmiernie umiarkowana za podróż, która pozwala dostać się do antypodów, zwłaszcza bacząc na szybkość podróży; z Paryża do Marsylii lub Perpignan, to jest na odległość 25 razy mniejszą przesyłka na kołach towarów pół raza więcej kosztuje, jak nowym parostatkami, według taryfy zapowiedzianej przez towarzystwo; a przed zaprowadzeniem kolei żelaznych, przesyłka owa na kołach z Paryża do Marsylii lub Perpignan trwała o połowę tylko mniej dni, jak zapowiadany przez kompanię czas do odbycia drogi z Londynu do Australii. Szybkość tego pakietbotu, jak zapowiada kompania, będzie w istocie bardzo wielka; ma dochodzić na 15 węzłów czyli 27 kilometrów na godzinę; szybkość to zwykłych pociągów na kolejach żelaznych. Przy podobnej szybkości, przepływ z Francji do Algierji trwałby tylko 24 godzin. W ten sposób, jak myślał, można się będzie dostać do Australii w 33 lub w 36 dniach.

Największa trudność zależała na wybudowaniu okrętów podobnej wielkości, któreby mogły po morzu żeglować; albowiem długość tego pakietbotu, zdaniem wszystkich, jest wielką śmiałością, zdaniem niektórych szaleństwem. Z drzewa nie podobnaby wybudować podobnych okrętów, któreby wytrzymały uderzenia burzy; podobny okręt z drzewa, za uderzeniem bałwana silnego, musiałby się rozłamać na dwoje. Użyto więc żelaza. Od czasu jak Anglicy mają żelazo tanie, naginają go do wszystkiego i do nowych używają go usług, rzecz można do nowych cudów. Od lat kilku tanieść blachy żelaznej zwróciła na siebie głównie uwagę inżynierów i budowniczych wszelkiego rodzaju w W. Brytanii. Robią z żelaza mosty nader silne i z arkadami i poprzecznkami tak śmiałością, że imaginacyjną zdumiewać muszą.

Podobnymi mostami fraszkiaby było jednym skokiem połączyć oba brzegi Sekwany pod Paryżem; albowiem most rzucony na cieżni Menai, po którym chodzą przyspieszone pociągi kolei żelaznych, ma poprzecznicę równą prawie szerokości co Sekwana pod Paryżem, liczą tam bowiem 140 metrów. Most ów jest to właściwie rura z blachy żelaznej, której wszystkie części są silnie pomiędzy sobą spojone, tak że według wyrażenia ulubionego architektów angielskich, pod względem wytrzymałości podobny on do belki masyw. Po-

dobne zadanie p. Brunel postanowił rozwiązać w budowie nowych parostatków. Będą one całe robione z blachy zielonej. Boki okrętu aż na dwa metry nad linią wody, nie będą robione z jednej blachy, ale budowanymi według systemu komorkowatego lub tubowego. Ten rodzaj budowy powiększy trwałość i zmniejszy możność pęknięcia lub otwarcia się dziury, którąby woda wewnątrz okrętu dostać się mogła. Co więcej, wewnątrz okrętu podzielone będzie na znaczną liczbę przedziałów, przepierzeniami nieprzepuszczającymi wody, urządzonemi z żelaza według tegoż samego systemu, tak, że gdyby woda dostała się do jednej części okrętu i nawet napełniła ją, okręt sam nie zatoni.

Tylko doświadczenie w ostatniej instancyi wyrzec może o zaśluchach budowy tak nowej, ale obliczenia nauki mogą wskazać, czy nadzieja powodzenia jest prawdopodobna czy nie. Otóż obliczenia dokonane przez pana Brunel, który się na tem zna, uspokoiły jego sumienie. Zresztą, niedługo będziemy czekać, bo i maszyny i tułów jednego z tych parostatków już zbudowany. Maszyny powierzono domowi James Watt, założonemu na początku naszego stulecia, przez sławnego wynalazcę tegoż nazwiska, któremu cywilizacya winna maszynę parową wydoskonaloną. Tułów zbudowany w Londynie, w warsztatach jednego z najbieglejszych budowniczych. W krótkim czasie wszystko będzie gotowe a kolosalny ów parostatek ruszy na morze, mając, jeżeli mu się droga powiedzie, dać z jednej strony świadectwo o potędze rozumu ludzkiego w pokonywaniu żywiołów i zbliżaniu do siebie rozmaitych części naszego planety, z drugiej zaś strony wskazać, iż żelazo jest najużyteczniejszym z metalów i że cywilizacya, gdy je ma za tanie pieniądze, za jego pomocą rozwiązywać śmiało może najtrudniejsze zadania.

**Północno-amerykańska pszczoła.** Duchu assocjacyi w Stanach Zjednoczonych nazywają *the bee*, pszczołą. Podziwienia godny ta pszczoła przedstawia widok. Na granicach Stanów Arkansas i Illinois, na puszczy przybywa rodzina, której całym majątkiem jest wózek jednokonny. Jestto albo mąż i żona, albo czasami prowadzą z sobą kilkoro drobnej dziatwy. Wybierają sobie mieszkanie: murawę, kilka zielonych dębów, rzekę w pobliżu. Ale nie mają narzędzi, aby sobie dom obronny (*loghouse*) wystawić; a oprócz tego potrzeba czasu dłuższego, robotników i pieniędzy, dużo pieniędzy. Kolonista ma jedynie do pracy swe ręce, ręce swej żony, a może i drobne rączki dziatwy. W tem nadbiegają dawniejsi osadnicy, którzy od dawna już mają domy, i niosą pomoc nowoprzybytemu. Nie zapuszczając się w żadne wywody i układy, nasładowują pszczoły, i wspólnie pracować zaczynają dla przybyłych. Ta braterska czynna pomoc wnet owoc przynosi, a za kilka dni przy pracy żwawej staje dom, pole jest uprawione i zasiane. Przychodzi żniwo, i zboże wymłócić trzeba. Schodzą się raz jeszcze bliżsi i dalsi sąsiedzi. W jednym dniu zbiorą i wymłócą, na coby sam miesiąc kilka potrzebował. Nowoprzybyły zwróci im to, czego od nich doświadczył; a gdy znowu osadnik świeży przyjdzie, tak samo z nim postąpią. Od sąsiada pożyczą się konia, od innego pługa, i oddaje się im. Jeden pomaga drugiemu, a nikt nie popada w nędzę.

Na tych posadach spoczywa życie amerykańskie. W pamięci mają Boga i religię. Niema kościoła w miejscu, tworzy się wnet nowa pszczoła. Wszyscy razem Kwakry i Arminianie, Meto dyści i Katolicy budują świątynię i modlą się potem w niej. Jeżeli ta wspólna modlitwa niepodoba się któremu z wyznań, więc buduje sobie inną świątynię, a gdy spali się dom modliwy kwaków, katolicy bez wahania pożyczają im swego kościoła. Ta praca pszczoły odbywa się we wszystkich objawach społecznego życia. Schodzą się na naradę, jakby most naprawić, przeprowadzą na rzecę urządź, szkółkę założyć, drogę wytknąć, las przeciąć. Składka idzie sporo, bo każdy wie, iż przez ten most, po tym gościńcu jeździć będzie. Mnożą się sprawy; złodzieje kradną woły i konie, niszczą pola. Natychmiast urządzają

straż polową. Indyjanie podpalają stodoły, Zaprowadzają zabezpieczenie od ognia. A wszystkiego dokonywa pszczoła!

(M. f. d. Lit. d. Ausl.)

Ze wszystkich miast Galicyi spieszą **deputacye** na powitanie Do stojnego w naszych murach bawiącego Gościa. W środę przyjmował Jego Cesarzewiczowska Mość deputacyę z Bukowiny, która złożywszy Mu hołd swój, upraszała, aby razeżył odwiedzić Czerniowce. W czwartek deputacya miała zaszczyt być zaproszoną na obiad do Jego Cesarzewiczowskiej Mości. Wczoraj przypuszczana była deputacya z miasta Brodów do posłuchania.

**Karnawał** już dawno się rozpoczął, ale jakoś nie idzie po myśli. Bal-Favorit w sali reutowej w poniedziałek nie bardzo wypadł świetnie. Bal strzelecki zapowiedziany na 24go wcale nie przyszedł do skutku. Mężczyźni subskrybowali w znacznej liczbie, a dam zaledwie kilkanaście. Odłożono więc do pierwszego wtorku w lutym, aż i damy nabiorą ochoty do zabaw. Jedynie bal wtorkowy tak zwany (*fusion*) spraszany, a składający się z wojskowych i szlachty wypadł, i dość licznie i bardzo świetnie. Drugi bal podobny (*fusion*) odbędzie się w następujący wtorek. Pierwszy bal u JEx. hr. Namieśnika miał odbyć się w środę, lecz, podobno dla lekkiej słabości Jego Cesarzewiczowskiej Mości, odłożony został na dzień dzisiejszy. Będzie to niazawodnie bal najświetniejszy, jakiego Lwów od dawna nie widział, prawdziwie zlanie się wszystkich znakomitości: wojskowych, wyższych urzędników, szlachty i obywatelstwa miejskiego.

Józef **Korzeniowski** napisał powieść: Stólnikowicz Wołyński. Właśnie z panem Unger wydawcą dziennika Warszawskiego a nabywcą tej powieści układamy się, aby ta powieść i w naszym dzienniku drukowana być mogła.

Z wszystkich stron pytają nas, czy i kiedy będzie koncert czwartego pana Mikulego. Entuzjazm który zbudził pan Mikuli dla gry swej, powinieby zniewolić dyrekcją teatru, aby uprosiła pana Mikulego do dania choć jednego jeszcze koncertu w teatrze, aby i większa publiczność mogła korzystać z gry jego.

Podług wykazu urzędowego, w jednym tylko domu obłąkanych w *Ohio* w Ameryce znajduje się 26 osób, którym **od posuwania się stolików** w głowach się poprzesuwało. Mybyśmy mogli i pozą domem obłąkanych większą nierównie liczbę chorych na umyśle wykazać. Wprawdzie najwięcej z podobnie chorych przychodzi do zdrowia i bez lekarza; czas, ten wszystkie boleści ukajający balsam wpływa i w tym względzie korzystnie. Jednakowo choroba ta, u niektórych osób jest tak uporeczywa, iż niezem jej wykorzystanie nie można, że uwierzą w najniepodobniejsze w świecie rzeczy. Jeden z podobnie cierpiących wpada pozawczoraj znów do naszego biura z zapytaniem, w którym towarzystwie, który to stolik kichnął? Biorąc to zapytanie za żart, żartem wskazujemy na najbliższy. Przybyły jegomość nuż w prośby, aby próbę powtórzyć. Daremnie zasłaniamy się, brakiem czasu, brakiem więcej osób do tego potrzebnych. W godzinę wraca prowadząc za sobą długi ogon twarłowierzących. Stają do stolika, który w krótkie tańczyć zaczyna. Z uroczystą miną sypią nań tabakę. W tem jeden z znanych z dowcipu współpracowników naszych kicha, a z drugiego pokoju odzywa się głos: Na zdrowie! W szale swym nie widzą tego stolikomany. Wpadają tam za tym głosem. Lecz o biada! Z trzech stolików, a kilku obecnych trudno odgadnąć, z kąd głos wyszedł. I rozbiegli się po mieście rozpowiadając wszystkim dziwa niesłychane! —

**Przyjechali** dnia 25. 26. i 27. do Lwowa:

PP. Bogusz Gracjan dzierz. dóbr, z Brzeżan. Górski Wincenty właśc. dóbr, z Lipic. Jabłonowski Józef wł. dóbr, z Rawy. Krajew-

ski Mikołaj wł. dóbr, z Żółkwi. Łoś Justyn hr. i właśc. dóbr, z Złoczowa. Nikorowicz Karol wł. dóbr, z Kochanówki. Papara Henryk wł. dóbr, z Zubowmostów. Pierzchała Józef właśc. dóbr, z Uszkowic.

PP. Borkowska Olga hr. i wł. dóbr, z Zaleszczyk. Brückmann Ksawery wł. dóbr, z Wołoszczy. Osmiałowski Szymon wł. dóbr, z Janczyn. Perelli Wilhelm wł. dóbr, z Arłamowskiejwoli. Smolski Józef wł. dóbr, z Kobylnicy wolskiej. Wiktor Tadeusz właśc. dóbr, z Tarnopola. Wiktor Walenty dzierz. dóbr, z Tarnopola. Wybranowski Roman dzierz. dóbr, z Horodysławic.

PP. Kozaryn Ignacy dzierz. dóbr, z Ulicka. Pasławski Konstanty wł. dóbr, z Grodowic. Pożakowski Hieronim wł. dóbr, z Sanoka. Rozejowski Klemens pleb., z Żółkwi. Sereżyński Karol właśc. dóbr, z Wankowic. Waydowski Kamil dzierz. dóbr, z Barszczowic. Ziemia Franciszek mand. z Zarudzie. Zborowski Alek. c. k. kom. cyrkul., z Kołomyi.

**Wyjechali** dnia 25. 26. i 27. stycznia ze Lwowa:

PP. Czajkowski Walerian dzierz. do Nadyeza. Jordan Teofil wł., dóbr, do Złoczowa. Romański Wincenty zarz. dóbr, do Rohatyna. Starzyński Leopold hrabia i wł. dóbr, do Złoczowa. Summer Jan c. k. radz. kam. do Krakowa.

PP. Antoniewicz Wincenty wł. dóbr, do Skwarzawy. Augustynowicz Bolesław wł. dóbr, do Złoczowa. Chomiński Józef gr. k. pleb. do Tarnopola. Cielecki Józef wł. dóbr, do Łoziny. Gniewosz Józef wł. dóbr, do Przemyśla. Gorajski Stanisław wł. dóbr, do Moderówki. Górski Mateusz wł. dóbr, do Przemyśla. Hubik Ignacy c. k. radzca izby obr. do Krakowa. Kalinowski Władysław hr. i wł. dóbr do Bakowic. Obertyński Władysław wł. dóbr, do Sawczyna. Tergonde Teodor wł. dóbr, do Łoziny. Urbański Adolf wł. dóbr, do Dobrosina. Wiśniewski Piotr dz. dóbr, do Tarnopola. Wojna Ignacy wł. dóbr, do Uszkowic. Złocki Wiktor wł. dóbr do Nikłowic.

PP. Hałuszyński Grzegorz zarz. dóbr, do Rzyceek. Jaskiewicz Aleksander aptekarz, do Radziechowa. Malczyński Józef zarz. d. do Żółkwi. Nowakowski Jan pleb. do Kulikowa. Polanowski Feliks wł. dóbr, do Bojaniec. Smarzewski Nikodem wł. dóbr, do Artasowa. Wisłocki Alojzy dz. dóbr, do Krystynopola.

### Kurs lwowski.

Dnia 28. Stycznia.	gotówką	towarem.
Dukat holenderski . . . . .	zr. 5 kr. 45	zr. 5 kr. 49.
Dukat cesarski . . . . .	" 5 " 49	" 5 " 53.
Półimperyał zł. rosyjski . . . . .	" 10 " 4	" 10 " 8.
Rubel srebrny rosyjski . . . . .	" 1 " 57	" 1 " 58.
Talar pruski . . . . .	" 1 " 47	" 1 " 51.
Polski kurant i pięciozłotówka . . . . .	" 1 " 26	" 1 " 27.
Galicyjskie listy zastawne za 100 ztr. . . . .	" 90 " 24	" 90 " 45.

**Kurs telegraficzny z Wiednia 27. stycznia o 2 g. popołudniu.**

Amsterdam 105½. Augsburg 125¼. Frankfurt 125. Hamburg 92¾. Liworno 121¼. Medyolan 122¾. Genua. — Londyn 12. 12. Marsylia — Paryż 146¼. Bukareszt. — Konstantynopol. — Agio duk. ces. 30. Srebra agio 25. Pożyczka 5% 91½. 4½ 80%. Pożyczka lit. B. — Akcyce banku 1325. Kolej północna 2330. Obl. ind. 5% —



**Fortepian** nowy, nie ograny, jest pod N. 45½ przy placu Franciszkańskim na dole, za 300 ztr. k. m. do nabycia.



Do dzisiejszego numeru jest dołączony spis nakładów księgarni  
**J. Perthes w Gotha.**